

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

2015 2552/1979/18

Chełm - 80

Bronisław Kowalski str. 4

Życie blisko Sztuki

Mirosław Derecki str. 6

Matka

Tadeusz Jasiński str. 8

Kamena

LUBLIN 2 IX 1979 NR 18 (686)

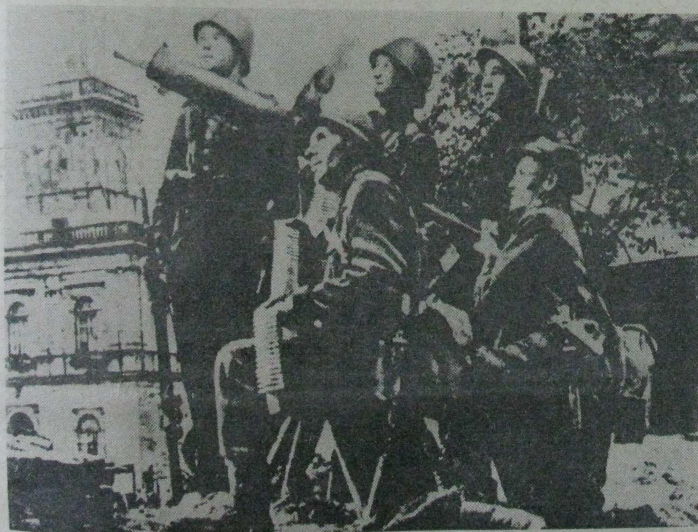
DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

WRZESIEŃ 1939

Wrześniowy trud piechoty

Andan Królikowski



Warszawa 1939 roku. Pozycje artylerii przed dworcem kolejowym.
Stanowisko ciężkich karabinów maszynowych

Fot. CAF

NIE wiem, kto nazwał piechotę królową broni. Bo przecież artylerzyści deklamowali o „jej królewskiej mości artylerii”, „Nie masz pana nad ulana” — śpiewano w kondliwie. „Szara piechota”, gdzie jej tam do królewskości! Bo to przecież ani artylerzyjskiej potęgi, ani barwności i fantazji jak w jeździe. A jednak...

O! weźmy choćby dziecinne wspomnienia pokolenia dzisiejszych jegomościów pod pięćdziesiątkę. Wiele wytrzeszczało się oczy na wojsko. Chętnie nad słuchiwano trąbek. Rozdziawiało się gęby, kiedy jechały armaty, hurgnące po koczach. Ibach. Czasami zadzierano się głowę do góry: leciały samoloty — „pezetele”, „erwudziaki”. Ale jądrem defilad była piechota. Ją też zapamiętało się najlepiej.

Walilo to bractwo zwartymi szeregami, łomocząc działo po bruku podkutymi buclorami. Szli w takt bębna. Helmy, karabiny najeżone bagnetami, na skrzydłach oddziałów polyskiwały oficerskie szable. Szli. Granatowe patki kolnierzy, rzygaki wężyków, szorstkie sukno mundurow, nogi w owijaczach. Patrzyli zachowato. Zadzierzyście. A z tłumy sypały się kwiaty. Przed nimi sztandar. Piechota, królowa broni...

Było jej bardzo dużo w naszym wojsku we Wrześniu. Miała rozstrzygnąć „bataill los”. Bo przecie masa: 39 dywizji, bataliony strzelców przy brygadach kawalerii, Obrona Narodowa, obrona Wybrzeża, KOP... Mielismy dużo piechoty. I to dobrze.

Dokończenie na str. 4

Wrześniowy trud piechoty

Dokończenie ze str. 1

Świetnie wyszkolonej, bitnej, wytrwałej. Uzbrojonej według naszych ówczesnych możliwości. Zdolnej powstrzymać piechotę wroga. Ba, nawet ją rozbić. Oś, kiedy przyszło jej cofać się między pancernymi zagonami, pod niebem opanowanym przez nieprzyjacielskie lotnictwo.

Piechotę, jak i całe wojsko, zaczęto umocowiać po roku 1933, na cztery lata przed wojną. W krótkim czasie zrobiono jednak bardzo wiele. Zmodernizowano umundurowanie, wprowadzono nowe oporządzenie. Dano piechurom świetne hełmy wzór 1831, te, co tak groźnie wyglądały na defiladach, co tożsmy je w Wrześniu zbierali po wjejskich rowach, potem oglądali na krzyżach.

Ujednolicono też uzbrojenie (przynajmniej w trzydziestu dywizjach czynnych — istniejących w czasie pokoju), które — jeżeli chodzi o broń osobistą i maszynową — w naszym nie ustępowało broni przeciwnika. Tak zresztą jak i granatniki czy moździerze. Dano też piechocie znakomitą broń przeciwpancerną: specjalne karabiny wz. 37 i armatki wz. 36 kalibru 37 mm (te same, w które uzbrojono kawalerię).

Od pistoletów oficerskich (sławne „Visy”), przez karabiny, erkaemy, cekaemy, po moździerze i broń przeciwpancerną, aż po legendarnego „Morsa” (pistolet maszynowy wyprodukowany w próbnej serii, przewidziany jako broń dowódców drużyn i plutonów) były to dzieła polskiego inżyniera i robotnika. Częstokroć produkowane na obcych licencjach, ale udoskonalane, na ogół wyprzedzające pierwowzory.

Pułk piechoty w Wrześniu składał się z 91 oficerów i 3212 szeregowych. Jego ODE (Ordre de Bataille) przedstawiało się następująco: dowództwo, pluton łączności (wyposażony w telefony i radiostacje), pluton zwiadu konnego, pluton kolarzy, pluton pionierów, kompania przeciwpancerna (9 armat — w planie 12; w dywizjach rezerwowych 4), bateria artylerii piechoty (2 armaty 75 mm, które miały być w przyszłości zastąpione przez 4 moździerze 120 mm), kompania gospodarza, tabory bojowy i trzy bataliony.

Batalion piechoty składał się z dowództwa, plutonu łączności (telefony i radiostacja), trzech kompanii strzeleckich i kompanii cekaemów (12+2 moździerze 81 mm). Kompania strzelecka dzieliła się na trzy plutony (po trzy drużyny) i była uzbro-

jona (poza bronią osobistą oficerów i strzelców) w 9 erkaemów, 3 granatniki 46 mm i 3 karabiny ppanc.

Niestety, broń przeciwpancerną było zbyt mało, broń przeciwlotnicza na szczeblu pułku nie istniała (stosowano przeciw samolotom cekaemy na specjalnych podstawach), a i w dywizji była niewielka (4 działka 40 mm — w dywizjach czynnych zmotoryzowane — w planie 6 działek i 8 erkaemów). Ponadto brakowało artylerii ciężkiej (słabe dywizyj i to tylko w dywizjach czynnych) i pancernych środków rozpoznawczych (kompanie tankietek jedynie w osiemnastu dywizjach).

W dodatku nasza wrześniowa piechota była nadmiernie obciążona: strzelce wielokrotnym ciężarem broni, amunicji i oporządzenia, a oddziały wlokącymi się osobami konnych taborów, tamującymi ruch na drogach, utrudniającymi manewr. Planowano zmotoryzować połowę z ośmiu kolumn taborów dywizyjnych, ale we Wrześniu planów tych nie zaczęto jeszcze realizować. Tabory stały się znowa dowodów i sztabowców. Na domiar złego uzupełniano je chłopskimi wozami, które nie były pakowne ani wystarczająco mocne.

Wrześniowe drogi! Pamiętamy je dobrze. Tabory, wozy i samochody uchodźców, rowery, motocykle, tłumy pieszych. Brakowało miejsca dla wojska. A jeszcze niemieckie lotnictwo, co niemal bezkarnie buszowało po kraju.

Ciężko było wrześniowemu piechurowi. W przeności i dosłownie. Bo policzmy: sukienne umundurowanie (choć „lato było piękne tego roku”), fornister ze zmianą bielejny i żelazną porcją, maźka, manierka, zrolowany płaszcz. No i chlebał, który — „jak sama nazwa wskazuje” — służył do noszenia granatów. I parczana torba z maską przeciwgazową (na sześciu okazała się nieprzydatna). A jeszcze łopatka. No i wrzeszcz broń: karabin, bagnet, 96 naboł w ładownicach. Spróbujmy to wziąć na plecy, udźwignąć, przejść z tym obciążeniem po piachu, w skwar choć kilka kilometrów.

Ciężko, prawda? Weźmy poprawkę na wiek: piechur we Wrześniu był młody, nawet rezerwista. Mógł mieć 25, 30 lat. Ale za to musiał iść nie kilka kilometrów. A w dodatku ktoś przecież nosił erkaemy (i amunicję do nich), karabiny ppanc. (barkaemy trzeba było nieraz brać na plecy, albo zaprzęgać się do biedek).

A kuchnie polowe „dlałli wiedza gdzie”, a spać nie ma kiedy. Ba, nawet i o wodę trudno. Powie ktoś: wiodrogach? Niemal. I studni w nich nie braknie. Wchodzić — Był tu żmł! — tłumacza chłop. — Artyleria, panie, ułmi, pili, poili konie... — Miał — prosł żołnierz, — Nie ma, synku — mówią kobiety. — Dajcie choć jabłko, garść wianu! — Nie ma...

Obliż, żołnierzu, spieczone wargi, otrzyj spoczone czoło, popraw fornister, weź karabin. Może i erkaem od kolegi? I idź. Piąty dzień, może dwunasty? Słyszysz komendę? — Lotnik, kryj się! — Biegnij w las, do sadu, pod przydrożne drzewa. Przeleciał! Formuj znowu kolumnę Maszeruj. A potem walcz. Strzelaj, idź na bagnety Maszeruj. A rrrra! Moeno naciskaj spust cekaemu. Nie trzyj oczu czerwonych od kurzu, piekących od niepania.

I znowu maszeruj. Noc. Idziesz, zasypiając, śpisz w rytmie kroków. A tu szosa zajęta. Może działka? Może tabory? Ranni? Albo po prostu uchodźcy opętani strachem przed Niemcami. Więc schodzisz na bok. Idziesz w kurzu ściernisk. Potykasz się o korzenie na leśnej ścieżce. I marzysz: pici! Pici i spać. Niechby już i nie jeść, nie zdejnować ryszunku. Byłoby pospać. Choć pare godzin. I napić się. Wody...

Pamiętamy ich, piechurów Września. Robylich pod Krasnobrodem, pod Tomaszowem, pod Zamociem... Szli po drogach Lubelszczyzny we wrześniowym jeszcze słońcu. Już bez broni, „bez orła na czapce”, bez pasów. Nieogoleni, w rozpiętych płaszczach, w niedbale nasuniętych na czoło polowicach czy furazerkach, podpierając się kijami, opatrując w przydrożnych rowach odparzone nogi.

Wypalniali też szpitale. Prawdziwe i te improwizowane, w szkołach, w urzędach. Długo jeszcze, podług jesienno-widowało się niemieckie samochody, z których wydobywano postacie w rdzawych mundurach, amoczące bandażami. Spotykało się na ulicach lekarzy w posiednich mundurach. Potem gdzieś znikli. I ci z zakurzonych dróg, i ci ze szpitali. Niektórych spotykaliśmy na emerytatach, w rzędach grobow z brzożowymi krzyżami; gdzieś gdzieś wsiadły jeszcze homy, nowe, piechocięskie i te francuskie lekkie, zarbane (choć mało przydatne w boju), jeśli poległy był kawalerzysta.

W tym czasie, w kilka lat po wojnie, w niejednym miesiącu, na wsi, w płaszczystym lesie pod szanami odkopano płytki rów pełen ciał w płaszczach i białych kołczach, w polowicach: tych żołnierzy, co to ich — nie bacząc na międzynarodowe prawa — rozstrzelano bezbronnym, już po bitwach.

Utrudził się we Wrześniu żołnierz piechoty Rzeftelnie, po chłopsku. Zapracował krwawo na „chwale zwyciężonych”. Myślmy o nich czasem. O młodych piechurach polskiego Września. O tych, co spojili pod brzożowymi krzyżami, co krwawili w prowizorycznych szpitalach, co wracali bez broni z przegranych bitew, stukając wieczorami do polskich domów, przysięgając o nocleg. Ale wyobraźmy ich sobie inaczej.

Niech w naszej pamięci odświeżnie buczy bęben. Niech powiewają szlاندary z dumnym znakiem srebrnego ptaka. Niech maszerują defiladowo, dumnym krokiem chwackie szeregi w nowych mundurach, w błyszczących hełmach, najeżone bagnętami. Rzucamy im w myśl kwiaty. Kto umie, niech się pomodli. Nie wstydzmy się i ty. Ale patrzmy na nich, na te defilady wspomnień z uśmiechem, choćby nas coś ścisrało za gardło, z dumą. Ba przecież ich przegrana była też i zwycięstwem.

Bohdan Królkowski

Kamena str. 4

Czy Wisła mogła być linią obrony?

Ryszard Nowosad

WYNIK samotnie prowadzonej wojny z Niemcami w realiach 1939 r. był przesądzony i nie-trudny do przewidzenia — wygrać jej nie mogliśmy. Zaskoczeniem natomiast — i to nie tylko dla sztabowców polskich — było tempo działań i szybkość poniesionej klęski, nawet jeżeli uwzględnić niemiecką przewagę ilościową, a przede wszystkim techniczną.

Nasuwa się więc nieodparcie pytanie: czy wobec nieuchronnej groźby konfliktu polsko-niemieckiego zrobiono wszystko, by w optymalny sposób wykorzystać istniejące możliwości i maksymalnie przedłużyć opór, zwiększając szanse na wojnę koalicyjną?

Dowódcy armii i grup operacyjnych otrzymali 21 marca 1939 r. następujące zadania: SGO „Narew” — bronić północno-wschodnich obszarów kraju; armia „Modlin” — broniąc Mazowsza, osłaniać Warszawę od północy; armia „Pomorze” — bronić Pomorza; armia „Poznań” — osłaniać Wielkopolskę z gotowością do przeciwuderzeń w kierunku północnym i południowym; armia „Łódź” — zamknąć kierunki operacyjne prowadzące ze Śląska Opolskie-

go na Warszawę; armia „Kraków” — bronić Śląska i Pogórza; armia „Karpaty” — zamknąć przełęcze karpackie na drogach prowadzących ze Słowacji.

W rezultacie polskie siły zbrojne rozmieszczone linearnie na froncie o długości ponad 1700 kilometrów nie tworzyły linii obrony, lecz jedynie płytką przesłonę, której przerwanie przez nieprzyjaciela natychmiast zagrażało tyłom. Powstałych w tym długim lecz cienkim kordonie wylomów nie było czym „załatać”, z powodu szczupłości odwodów. Jednocześnie niektóre armie znajdujące się na biernych kierunkach operacyjnych (armia „Poznań” i SGO „Narew”) do 9 września nie brały udziału w wojnie. Niemiecka przewaga techniczna sprawiła, że okrażone armie polskie były się oddzielnie, każda z osobna.

Linearne ugrupowania i wojna pozycyjna stanowiły zaprzeczenie nowoczesnej myśli wojskowej, której istotą był manewr na skrzydła i tyły przeciwnika.

Dokończenie na str. 5

Czy Wisła mogła być linią obrony?

Dokończenie ze str. 1

Obrona całosci zachodniej Polski była niemożliwa nie tylko z powodu braku sił i środków potrzebnych do obsadzenia tak długiej granicy. Skuteczną obronę wyklucza również zarys granicy polsko-niemieckiej. Jej kształt umożliwiał Niemcom zastosowanie dwu stronnego okrażenia. Wisła okopem nad Polską Prusę Wschodnią, z których uderzenie zagrażało obronie Pomorza i stolicy kraju. Zajęcie przez III Rzeszę w marcu 1939 r. Czechosłowacji umożliwiło wyprowadzenie wojsk niemieckich na tyły wojsk polskich zgromadzonych na Śląsku.

Dlaczego więc dowództwo polskie przyjęło takie karkołomne początkowo rozwinięcie, mimo że na kilka lat przed wojną uznano je za bezsensowne? (Pik Leon Mitkiewicz w swojej książce „Kawaleria samodzielną Rzeczypospolitej Polskiej w wojnie 1939 r.” wspomina o konferencji inspektorów armii w 1936 r. poświęconej koncentracji wojska polskiego w wypadku wojny z Niemcami, na której Generalny Inspektor, Rydz-Smigły, oświadczył, że „... armie polskie nie mają być nadmiernie wysunięte ku granicy niemieckiej”).

Trzy przesłanki zdecydowały o tak nieracjonalnym ugrupowaniu wojsk polskich.

Po pierwsze — nie uwierzano, że wojna wybuchnie. Nieuzasadnione przekonanie ministra spraw zagranicznych, płk. Józefa Becka, o tym, że Hitler blefując, udzieliło się pozostałym osobom z rządu i w Polsce trójki. Kordonowe rozwiniecie sił było więc demonstracją obliczoną na zastopowanie ewentualnych lokalnych, „pokojowych”, aktów agresji niemieckiej według wzorów z 1938 r. Potwierdziła to meldunek węgiersko-królewskiej misji wojskowej zwiedzającej front: „Koncentracja ta (tzn. linearna — RN) obliczona była prawdopodobnie na zastraszanie w czasie napiecia politycznego, ale nie odzwierciedlała rzeczywistego planu.”

Po drugie — myślą przewodnią Naczelnego Wódza było: „...nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych na zachodzie”. Sądząc, że przyszła wojna będzie prowadzona według schematów ostatnich wojen, a więc będzie wojną powolną, pozycyjną, w czasie której zaistnieją szanse na spokojne przegrupowania i na uzyska-

nie czasu kosztem przestrzeni, by w ten sposób doczekać się utworzenia frontu na zachodzie, co miało nastąpić w 17 dniu wojny. Marszałek Rydz-Smigły taktycznie możliwości marszu u przeciwnika mierzył możliwościami własnych wojsk.

Po trzecie — wysuwając wojska daleko na zachód osłaniano zgromopowane w zachodniej Polsce ośrodki zapasowe, materiałowe zapasy wojenne oraz potrzebny do prowadzenia długotrwałej wojny przemysł. Wszystko to było zgromopowane po zachodniej stronie Wisły, gdyż przez cały prawie okres międzywojenny czyniono przygotowania do wojny ze Związkiem Radzieckim. W wojnie z Niemcami polski potencjał wojenny narażony był na bezpośrednie uderzenie.

W uzupełnieniu tego zagadnienia wspomnieć należy, że na decyzję Rydz-Smigłego o obronie całosci zachodniej Polski niewątpliwym wpływ miało znane „Studium Niemcy” gen. Tadeusza Kutrzeby z 1936 r. W tym memorandum postulował on konieczność zachowania w rękach polskich części obszaru zachodniej Polski, niezbędnego do prowadzenia wojny, który to obszar gen. Kutrzeba nazwał „tulem strategicznym”.

Wszystkie powyższe motywy, którymi kierował się Naczelnny Wódz, nie uwzględniały tego, że nieprzyjacieli dysponował pletnastoma szybkimi dywizjami i bezwzględna przewaga w lotnictwie. Oceniając krytycznie polskie ugrupowanie wyjściowe, jeden z wybitnych sztabowców niemieckich (szef sztabu grupy armii „Południe”) gen. Erich v. Manstein trafnie zauważył, że Rydz-Smigły stał przed dylematem: czy tracić sam obszar (w wypadku zdecydowania się na obronę części terytorium — RN) czy tracić obszar wraz z wojskiem. Naczelnny Wódz wybrał to drugie.

W strategicznie beznadziejnej sytuacji, w jakiej znajdowała się Polska w 1939 r., optymalnym rozwiązaniem, ograniczającym operacyjne szanse Niemców byłaby decyzja o obronie części terytorium państwowego. Taką koncepcję wysuwał francuski generał Weygand, proponując utworzenie głównej strefy obronnej od razu wzdłuż Narwi, Wisły i Dunajca lub Sanu. Niemiecki „operator”, płk Herman Schneider, sformułował na ten temat następującą uwagę: „Strategiczne położenie Polski było niekorzystne, a wykres granic umożliwiał okrażenie na północy i po-

łudniu (...). Siły polskie nie wystarczały do bezpośredniej obrony granic. Naczelnny Dowództwo musiało zatem z konieczności znaleźć linię obronną odpowiadającą cięciwie wyżej wspomnianego łuku. Plan francuskiego generała Weyganda, by stworzyć główną strefę obronną przy wykorzystaniu dawnych rosyjskich fortyfikacji nad Niemnem, Biebrzą, Narwią, Wisłą i Sanem odpowiadał na ogół temu wymaganiu”.

Taka koncepcja obrony skracala linię frontu prawie o połowę, a tym samym umożliwiała większe nasycenie wojskiem obszaru frontowego oraz dawała szansę na tworzenie zgromopowań odwodowych, których brakowało już w pierwszych dniach wojny. Ponadto w obliczu materiałowej i technicznej przewagi niemieckiej oparcie obrony na liniach wielkich rzek jako na naturalnej barierze wodnej miało dodatkową zaletę. Wreszcie — przyjęcie powyższej koncepcji umożliwiałoby zniwelowanie groźby uderzenia niemieckiego ze Słowacji na tyły polskiej obrony i stopienie uderzenia z Prus Wschodnich.

Koncepcja oparcia obrony na barierze rzek w warunkach wojny błyskawicznej dawała Polakom więcej szans, ale zawierała dwie słabe strony. Jedną z nich to transportowe trudności z przeprowadzeniem koncentracji wojsk w głąb kraju, druga miała charakter polityczno-moralny. Trudno było dowództwu polskiemu podjąć decyzję, by bez poważniejszej bitwy oddać tereny na zachód od Wisły, tereny, których część była przedmiotem niemieckich żądań. Obawiano się, że jeśli Polska odda bez walki obszary, do których aspirują Niemcy, to Anglia i Francja mogą nie przystąpić do wojny.

Mimo tych negatywnych stron, obrona na liniach rzek była z wojskowego punktu widzenia rozwiązaniem najkorzystniejszym, najmniej ryzykownym. Oczywiście nie można było liczyć na to, że będzie to obrona nie do pokonania, lecz że w tych dogodnych jak na polskie możliwości warunkach będzie ona trwała przynajmniej kilka tygodni, a nie kilka dni.

I wbrew pozorom nie są to rozważania czysto teoretyczne w sensie „co by było gdyby”. W trakcie walk, gdy niemieckie wojska pancerne przełamwały kordonową polską obronę wychodzącą na tyły naszych ugrupowań, marszałek Rydz-Smigły usiłował organizować koncepcję obrony na Narwi, Wiśle

i Sanie. Lecz wówczas było już na to za późno. W okresie poprzedzającym wojnę nie zrobiono nic (oprócz wybudowania kilku mostów), by linia rzek stała się linią obronną. Użyte masowo w kampanii wrześniowej niemieckie lotnictwo uniemożliwiło uporządkowany odwrot i zorganizowaną koncentrację. Gdy zaistniała ostateczność nie było już sił zdolnych do obrony tej linii, ponieważ niemieckie wojska szybko odcięły armie polskie, walczące w łuku Wisły, od przepraw, bądź też dochodziły do tych przepraw równocześnie, nie pozwalając na należyte zorganizowanie wtórnej obrony.

Powołanie przez Naczelnego Wódza 4 września armii „Lublin” z zadaniem obrony środkowej Wisły stanowiło jedynie improwizację, która nie mogła zastąpić rzetelnego planu i rzetelnych decyzji operacyjnych.

„Gdyby polski plan operacyjny — pisał gen. Jerzy Kirchmayer — był zawczasu opracowany, a nie jak się to stało w rzeczywistości, w ostatniej chwili i to na długo przed wojną, że nasze położenie operacyjne nie może być rozwiązane przez zniszczenie północnego skrzydła niemieckiego (tzn. wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich — RN). Z tego wypływa kapitalny wniosek: że obrona rdzennej Polski nie ma widoków powodzenia, że trzeba uchylić się od uderzenia grożącego w skrzydło i tyły przez cofnięcie obrony na wschód i że w związku z tym trzeba zmienić polityczne wartości, w jakich znalazła się Polska”.

W wypadku przyjęcia koncepcji obronnej na liniach rzek w tyłach wojsk polskich znalazłby się nad granicą polsko-radziecką, a więc konieczny byłby sojusz wojskowy z ZSRR, której to jedynie logicznej myśli, wynikającej z położenia operacyjnego naszego kraju, nie dopuszczano.

Kleska walczącej samotnie we wrześniu 1939 r. armii polskiej była nieunikniona, ale nastąpiła zbyt szybko, zanim wykorzystano istniejące możliwości i szanse. W ukształtowanych warunkach odsunąć tej kleski nie mogła pow szechnie znana bitność polskiego żołnierza.

Ryszard Nowosad

Kamena str. 5